

Grześ niepiśmienny



MICHAŁ BAŁUCKI

Grześ niepiśmienny

ROZDZIAŁ PIERWSZY. KTO BYŁ GRZEŚ I CO UMIAŁ

Ojciec Grzesia nie był od tego, żeby jego chłopak umiał czytać i pisać i miał najszczerze chęci posyłać go do szkoły; ale zawsze się tak nieszczęśliwie składało, że nigdy na to czasu nie było. Zimy jedna po drugiej były takie ciężkie, mroźne, z zaspami śnieżnymi i zadymkami, że Wojciechowa — matka Grzesia, nie miała serca na taki czas gnać chłopca o pół mili blisko na pociejowskie grunta do szkoły; a przyszła wiosna, to zawdy chłopak był potrzebny w domu: to gęsi przypilnować na pastwisku, żeby w szkodę nie poszły, to po wódkę do karczmy, to małą Petrysię pokołysać, albo starej Giertrudzie pomagać przy bydłe. W żniwa jeszcze bardziej był przydatny: gdy wszyscy wyszli w pole do roboty, to gdyby nie on, nie byłoby przy kim zostawić chałupy i małej Petrysi. Zagraj i on byli wtedy jedynymi stróżami; Zagraj odpędzał dziadów i złodziei głośnem szczekaniem, a Grześ nietylko, że Petrysię bawił, huśtał, uspił śpiewaniem, ale i gałązek chrustu nałamał i ogień rozniecił na kominie i pilnował, żeby się kot nie dostał do garnków z mlekiem i drobił zacierki na nieckach. Wojciechowa potrzebowała tylko na chwilę wpaść do domu, ponastawiać garnki, zamieszać, zasypać, a reszta to już była na głowie Grzesia. Matka miała z niego niemałe wyręczenie, bo był chłopiec ciekawy do każdej roboty, a uważny i roztropny, że można się było spuścić na niego, jakby na dorosłego. Jeszcze nie miał dwunastu lat, a już rwał się do koni, wodził je na paszę, do wody i dawał sobie radę, czy spętać na pastwisku, czy zaprząć do pługa lub poganiać przy orce. Pomagało mu do tego wiele, że śmignął prędko do góry i miał wzrost i siłę nad wiek. Gdy się go widziało zdaleka w polu przy robocie, przysięgłbyś, że to już dorosły parobek; dopiero zbliżka widać było, że to jeszcze chłopak. Z umysłu udawał starszego, niż był, naśladując dorosłych: tak samo kłął, jak oni, tak zamaszycie chodził, nawet papierosy ćmił, spluwając przytem tak jak tatuś.

Wojciech nie bronił mu tego, bo go okrutnie cieszyło, że mu się taki śwarny chłopak udał, że ma z niego wyręczenie i rad przechwalał się nim wszędzie, po odpustach, jarmarkach wodząc go ze sobą, żeby wcześniej przyzwyczał się do wszystkiego. Nieraz wracali obaj podchmieleni, nie jak ojciec z synem, ale jak dwaj kamraci, trzymając się za szyję i przyspieszując, a matka patrząc na to, aż się ze śmiechu brała pod boki.

— He, he, — mówiła — to ci chłop będzie kiedyś z tego Grzesia, ojca zakasuje.

— A dalibóg zakasuje — powtarzał ucieszony Wojciech — powiadam ci matko co to za szelma chłopak... do wszystkiego powiadam ci.

Rzeczywiście był do wszystkiego, tylko nie do książki, nie do pisania. Kiedy poszedł do pierwszej spowiedzi, to jegomość aż się za głowę wziął, że Grześ taki duży urósł i ani czytać, ani pisać nie umie. Wnet ojca zawołał do siebie na plebanję i zaczął mu kłaść w uszy:

— Cóż wy to sobie myślicie, Wojciechu? — powiada — chłopaczysko wyrosło jak dryblas i liter nawet nie zna? Bójcie się Boga, czy wam to nie wstyd? Żeby to syn jakiego biednego komornika, to jeszcze byłaby wymowa, że nie miał za co go uczyć, ale wy przecie gospodarz zamożny i żeby tak zaniedbać dziecko. A toż on sam potem będzie miał żal za to — i bardzo słusznie.

— E ocooby to miał mieć żal, proszę jegomości — odparł Wojciech rezolutnie, — ja czytać i pisać nie umiem, a uchowałem się i jestem gospodarz, jak się patrzy.

— Ale teraz inne czasy, mój Wojciechu. Dawniej włościan uważano za małoletnich, myślał za was pan i ksiądz, — a teraz wy sami musicie myśleć i radzić o waszych potrzebach. Chłop dziś im więcej umie, tem lepiej dla niego i dla gminy.

— Ha, może i jegomość mają racją — myślał sobie Wojciech wracając do domu i, skrobiąc się po czuprynie, myślał, że może trzebaby, żeby się Grześ choć czytać i pisać poduczył trochę. Późno bo już na to; ale lepiej późno, jak nigdy. Rada tedy z żoną i syna także pytali się o zdanie.

Grześ nie był od tego, bo miał chęć do wszystkiego. Ojciec kupił mu elementarz, tabliczkę, piórniki, linijkę, nawet torbę na książki i Grześ wyposażony we wszystkie przybory, ubrany czysto, porządnie, jak na kmiecego syna przystało — pomaszzerował do szkoły.

ROZDZIAŁ DRUGI. GRZEŚ UCZY SIĘ W SZKOLE I W DOMU

Łatwiej było jednak iść do szkoły, niż w niej wysiedzieć.

Odrąz gdy wszedł i zasiadł w ławce, cała szkoła buchnęła takim śmiechem, że profesor pomimo upominania, nie prędko mógł przywrócić spokój. Bo też w istocie ogromnie śmiesznie wyglądał chłopak taki okazały, gruby, szeroko w barkach rozrośnięty, pomiędzy małymi dziećmi. Ławka okazała się dla niego za mała i za ciasna. Gdy chciał sięść jak się patrzy, to kolanami podważył ławkę i kałamarze, kajety i tabliczki runęły na ziemię. Gdy się zaś oparł plecami, to ławka cała w tył się przechyliła wraz z dziatwą, która, przebiegając w powietrzu nogami, wrzeszczeć zaczęła przestraszona.

Profesor nie widział innego sposobu, tylko kazał mu sięść osobno, na stołku pod oknem. Siedział tam odosobniony, jakby za karę, jak wielkolud jaki między małymi, narażony na śmiechy i drwinki malców. To go drażniło i gniewało.

Gorzej jeszcze było, gdy przyszło do nauki. Ponieważ nie umiał jeszcze nic, więc musiał zaczynać od kresek i abecadła, podczas gdy drobniejsze dzieci już wcale nieźle czytały i pisały. Nic więc dziwnego, że gdy taki drągał zaczął z trudnością składać litery i sylaby, cała szkoła zanosila się od śmiechu, bo strasznie zabawnie wyglądał Grześ z pomarszczonym od natężenia czołem, spocony — przy elementarzu, jakby przy jakiej ciężkiej pracy, męczący się nad odróżnieniem i poznaniem liter.

Grześ nie mógł długo cierpliwie znosić tych drwinek, bo był chłopak ambitny i uparcarzało go to, żeby jego, co już z parobkami był za pan brat, do karczmy z tatusiem chodził, tutaj malcy wyśmiewali. Jakiś czas zaciskał zęby i wstrzymywał się; ale, gdy mu już tego było za dużo, chwycił raz za czuprynę najbliższego chłopaka, co ciągle chichotał podczas jego czytania, i tak go zaczął tarmosić, obracać na wszystkie strony i walić kulakami po plecach, że zdawało się iż duszę z niego wytrzęsie.

— Puść go, daj mu pokój, puszczaj mi go zaraz — wołał na niego surowym głosem profesor.

Grześ nie słyszał upominania i mocując się zapamiętało samego profesora, gdy ten zbliżył się, aby bitego chłopca wyrwać z rąk jego, mimowoli tak silnie pchnął łokciem, że ten potoczył się kilka kroków pod ścianę.

Zrobił się straszny rumor w szkole; dziatwa rzuciła się ku obronie — jak małe pie-ski doskakiwali malcy z różnych stron, skubiąc, szarpiąc, waląc pięściami Grzesia, który oganiał im się, machając rękami, kopiąc nogami. Pisk, wrzask, płacz dzieci, łoskot przewracanych ławek, tworzyły piekielną wrzawę, wśród której słyhać było donośny głos profesora, który komenderował dziatwą, nakazując im złapać i uwięzić „lotra” — sam nie zbliżał się z obawy, by mu się powtórnice co nie dostało, bo Grześ rękami walił, jak cepami, oganiając się napastnikom, a gdy mu ręce nie wystarczały, porwał stołek z pod okna i wywijając nim w koło, torował sobie drogę ku drzwiom. Następnie wyszedł na dwór ścigany wrzaskiem i pogrózkami malców i profesora.

Rozumie się po takim znalezieniu się nie miał już po co pokazywać się więcej w szkole.

Oprócz tego, ojca kosztowało niemało załagodzenie tej sprawy, bo i rodzice pobitych dzieci chcieli skargę zanieść do sądu. Trzeba było poczęstunkiem, darami zatkać ludziom usta. Wojciech synowi Ambrożego musiał odkupić potarganą sukmanę, komornicy Kundzie dać ćwiartkę żyta i jeszcze kaszy jaglanej kwart kilka i sperki na okłady dla jej syna, bo

utrzymywała, że dziecku odbił coś w piersiach i okłady robić mu trzeba. Wójtowi także za umorzenie tej sprawy trzeba było posłać na święta garniec okowity i wianek wędzonej kielbasy.

Grubo więc kosztowała Grzesiowa nauka a pożytku z niej nijakiego. Tyle tylko, że poznał kilka liter i nauczył się krzywe kreski stawiać na tabliczce.

Doradzono Wojciechowi, żeby syna dał uczyć w domu, że na posyłanie do szkoły już zapóźno. A był właśnie we wsi Marcinek Dudzik, syn komornicy, chłopak o trzy lata starszy od Grzesia, który nietylko czytać umiał, ale i pisał dobrze — a nawet gdy profesor czasem zaniemógł, albo potrzebował iść na jarmark albo na odpust, gdzie był zaproszony, to Marcinek zastępował go w szkole jako tako. On odczytywał listy od tych, co w wojsku służyli i odpisywał na nie, za co mu często grosz kapnął do kieszeni, a kto nie dał grosza, to dał ćwiartkę kartofli, płótna na koszule, buty podarował, resztę on i matka dorobili sobie chodząc na zarobek do żniwa, do dworskiego ogrodu plewić, na posyłki do miasta i tyle mieli z tego oboje, że nietylko wyżywić się mogli, ale i na porządny przyodziewek im starczyło.

Otóż tego Marcinka wezwano teraz do Grzesia, by go za odpowiedni wynagrodzeniem wyuczył jeżeli nie więcej, to przynajmniej czytać i pisać.

Marcinek zabrał się do tego z wielką gorliwością; ale nauka szła tępo, bo Grześ, choć przy książce siedział, więcej dawał baczenia na to, co się w domu i na podwórku działo. Tu Marcinek tłumaczy mu jaka jest różnica między a i q , a Grześ tymczasem zagapił się na bramę, w którą wjeżdżał ojciec, wracający z pola od orki; Marcinek pokazuje mu, jak się pisze s , a on zamiast po jego wskazówkach prowadzić pióro, rzucił je na stół i pobiegł do matki dać znać, że ciele się urwało i wybiegło na drogę. To też nie na wiele zdały się rady i nauki Marcinka, tembardziej, że Grześ sobie go lekceważył, nazywając pogardliwie dziadowskim dzieckiem. Pamiętał bowiem dobrze, jak Dudzikowa po śmierci męża na przednówku chodziła po chatach i żebrała dla siebie i syna to kapkę mleka, to chleba kawałek, lub ziemniaków trochę. I on teraz musi temu dziadowskiemu dziecku ulegać, słuchać go, robić co każe! To go obrażało.

ROZDZIAŁ TRZECI. MARYNKA KALICIANKA

Był jeszcze inny powód niechęci Grzesia do Marcinka, a to z okazji Marynki Kalicianki.

Marynka Kalicianka była to tęga, puciołowata dziewczucha, jakby ją kto wykroił z rumianego, twardego jabłka, aż się świeciła od gładkości i twardości. Nosek trochę zadarty, wargi grube, ale oczy wesołe takie, że się aż przyjemnie robiło gdy nimi spojrzęła. Parobcy się już za nią oglądali, choć miała dopiero dwanaście lat. Oglądali się za nią, bo wiedzieli, że za trzy, albo za cztery lata będzie o nią uganiaczka, nie tyle dla jej oczu i rumianej gęby, ile dlatego, że jej tatuś wójt uchodził we wsi za najbogatszego, a ona była jedynaczka i stroili ją — oj stroili! Kiedy we święto matka ponawieszała na nią wykrochmalonych spodnic, to w duże kwiaty, to w małe, to muszlinowe, to ostre, dziewczucha wyglądała gruba, jak beczka w tej paradzie, że ruszać się dobrze nie mogła. Inne dziewczuchy z podziwem i zazdrością poglądały na nią i każda napierała się u matki o takie szumne spodnice, o takie kwiatki, jakie widziała u Marynki Kalicianki.

Grześ od dziecka małego znał Marynkę, bo ojcowie ich żyli ze sobą w przyjaźni. Starzy nieraz żartem mawiali mu: to będzie twoja żona i Grześ tak oswoił się z tą myślą, że patrzył na Marynkę, jakby na swoją własność, a że lubił udawać dorosłego, więc za przykładem parobków przywoził jej, niby swojej narzeczonej, z każdego odpustu to pierścionek, to wstążkę, to paciorki. Dziewucha brała, bo ją to bawiło.

Raz przyniósł jej karmelków z wierszykami. Odkręcała papierki jeden po drugim, karmelki pakowała do buzi, a wiersze odczytywała sobie pocichu. Przy jednym zaśmiała się głośno i rzekła, pokazując Grzesiowi:

— To tak jakby dla ciebie napisano.

— A cóż tam pisze? — spytał Grześ.

— Na, masz, przeczytaj.

Grześ wziął kawałek zadrukowanego papieru w rękę, obracał go na wszystkie strony i nie widział co zrobić.

— No, czemuż nie czytasz?

Grześ był cały czerwony, jakby go kto krwią oblał. Wstyd mu było przyznać się, że czytać nie umie. Marynka jednak poznała to bez jego gadania, widząc, że wierszyk trzymał do góry nogami. Zaczęła się śmiać z niego i drwić.

— O! la Boga, to ty nie rozumiesz nawet z drukowanego? Taki duży chłop i czytać nie umie.

Grześ myślał, że się spali ze wstydu. Nic go tak dotkliwie nie ubodło, jak te drwinki Kalicianki — i może to było powodem, że tak prędko zgodził się na pójście do szkoły, a potem gdy tak sromotnie szkołę opuścić musiał, na naukę z Marcinkiem. Tak wielką wagę przywiązywał do tego, że przy najbliższym spotkaniu się z Marynką nie zapomniął pochwalić się przed nią, że się będzie w domu uczył.

— Czasby też już było — rzekła na to Marynka.

— Marcinek mnie będzie uczył.

— Dudziak? — spytała żywo.

— Dudziak.

Dziewczyna bez śmiechu przyjęła tę wiadomość i od owego czasu coraz częściej przybiegała do domu Wojciechów, do małej Petrysi, to jej pokazać co ciekawego, to pleść z nią wianuszki z bławatków albo obrębiać chusteczki. A zawsze tak się zdarzyło, że przyszła właśnie wtedy, gdy Grześ z Marcinkiem siedzieli przy lekcji i usadowiła się z Petrysią zawsze tak, żeby widzieć okno, przy którym oni siedzieli.

Grzesia cieszyło to niezmiernie, że Marynkę tak zajęły jego lekcje — i poglądał częściej na nią, niż na książkę.

Jednego razu Marynka ośmieliła się podczas lekcji wejść do izby. Wpadła prędko i rzucając serce z piernika, co je kupiła dzień przedtem na odpuscie, rzekła prędko zawstydzona:

— Macie, to dla was gościniec — i uciekła co tchu, czerwieniąc się mocno.

Grześ ani na chwilę nie wątpił, że to serce dla niego i zabrał je, jak swoje. Dopiero Petrysia wyprowadziła go z błędu. Gdy zobaczyła, jak on z tem sercem nosił się wszędzie, zrobiła duże oczy i spytała zdziwiona:

— A cóż to Marcinek darował ci?

— Co miał darować? Marynka mi dała.

— To dziw. Bo przecie ona mi mówiła, że je da Marcinkowi.

Grześ zmarszczył czoło.

— A za cóżby ona jemu dawała — czy on jej brat albo swat.

— Ty także ani brat, ani swat.

— Ale ona moja. Jak dorośniemy, to się pobierzemy. Tak uradzili starzy.

— Ale Marynka inaczej mówi.

— A jakże ona mówi?

— Że gdybyś był taki piękny jak Marcinek, toby poszła za ciebie i to chyba wtedy, gdyby Marcinek z inną się ożenił.

Słowa te małej siostry, która je powtarzała bezwiednie, jak srocza, ugryzły w samo serce Grzesia. Chodził cały dzień chmurny i nadąsany, a wieczorem wziął książki, kajety, pióra i wrzucił to wszystko w ogień i powiedział ojcu, że się więcej uczyć nie będzie i że Marcinka nie chce na oczy widzieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY. GRZEŚ NA WĘGRZECH

Minęło lat pięć, czy sześć od tego czasu. Grześ wyrósł na prawdziwego parobka, latał za Marynką po muzykach, po odpustach, umizgając się, hulając, nie robiąc sobie nic z tego, że tam kiedyś na Marcinka słodkie oczy rzucała. Marcinka wzięli do wojska, dwa lata przeszło nie pokazał się już we wsi i dziewczyna nigdy o nim nie wspominała. Co z oczu, to i z myśli. Tak przynajmniej tłumaczył sobie Grześ.

Jemu także przyszedł czas stawać do wojska; ale tatuś jak zaczęli chodzić za nim, tak powiedziano, że niezdatny i puszczono do domu. Na drugi rok ta sama historia się powtórzyła. Starzy więc uradzili między sobą, że jak w trzecim roku uda się wykpić Grzesia od wojska, to się młodych pożeni — niby jego i Marynkę. Ale na trzeci rok jakoś coś się

pozmieniało i uznano Grzesia za zdatnego. Jak niepyszny musiał iść w rekruty; ostrzygli, ubrali w mundur i odkomenderowali do pułku, gdzieś aż na Węgry¹.

Oj było płaczu i lamentu w domu. Marynka jak Marynka — tarła oczy fartuchem, więcej dla zwyczaju, jak z żalu. Ale matka Grzesia — widziało się, że się rozplynie w łzach. Całą gromadą odprowadzili wojaka do stacji, skąd miał jechać na Węgry. Było tam jeszcze paru takich świeżo ostrzyżonych kamratów, co mieli z nim razem jechać za jednym biletem i kapral Niemiec z nimi.

Kiedy pierwszy raz zadzwoniono i kapral zakomenderował marsz, Wojciechowa zaczęła płakać tak strasznie, jakby ją zarzynano, Wojciechowi, choć chciał udawać spokojnego, łzy z oczu ciekły, jak przez dziurawe sito, a twarz krzywiła się z żalości. Marynka tylko nie płakała, bo wstyd jej było wobec tylu ludzi; udawała wesołą i podając na pożegnanie rękę Grzesiowi, powiedziała mu: — „no bywaj zdrów — a pisz!”

Powiedziała to tak sobie, bo nieraz tego rodzaju pożegnania obiły się jej o uszy. Grzesiowi jednak utkwily te słowa w pamięci, szczególnie to ostatnie: a pisz!

To się rozumie, że pisać będzie musiał, bo jakżeby inaczej dał im znać o sobie; ale jak tu pisać gdy się nie umie? Przyszło mu na myśl, że może który z towarzyszy wyuczy go tej trudnej sztuki. Przecie to znowu nie tak wielka rzecz. Pomęcz się miesiąc, dwa, a koniec końców nauczy się choć tyle, żeby list od ojców przeczytać i kilka słów bodaj odpisać na niego.

Pokazało się jednak, że żaden z jego towarzyszy czytać ani pisać nie umiał. Jeden wprawdzie przechwalał się, że umie czytać z drukowanego; ale jak zaczął im czytać jakieś ogłoszenie na stacji kolei, jak zaczął dukać stękać, tak nikt jego, ani on sam siebie nie zrozumiał. A cóż dopiero z pisanego.

Grzesia desperacja brała, co to będzie, gdy wlezie między samych Niemców i Węgrów a tu list przyjdzie od rodziny, może i od Marynki a on ani rusz nie będzie mógł przeczytać.

W pułku akurat nie było żadnego piśmiennego Polaka, wszyscy albo Niemcy albo Węgrzy i Słowacy. trzeba było na gwałt napisać coś do rodziny o sobie, a nie było komu napisać. Mówiono mu wprawdzie, że o parę wsi od miejsca, gdzie stali, jest jakiś kapral piśmienny z Galicji; ale Grześ nie miał śmiałości do kaprała i z dnia na dzień odkładał zamiar udania się do niego. Kapral — myślał sobie — to może nie zechce pisać rekrutowi albo może będzie chciał dużo za swoją fatygę. Gdy jednak upłynęło parę miesięcy, nie podobna było dłużej odkładać pisania i Grześ, korzystając z wolnych chwil, udał się do onej wsi, w której on kapral przebywał. Przybywszy tam, zaczął się dowiadywać o owego kaprała, gdzie mieszka i jak się nazywa. Wskazano mu dom za kościołem i powiedziano: idźcie tam i pytajcie się o kaprała Marcina Dudziaka.

Grześ, usłyszawszy to nazwisko, skoczył, jakby go kto pałką w łeb ugodził i zbladł okrutnie. Nie było wątpliwości, że to będzie ten sam Marcin, którego on znał. Wiedział, że został kapralem, że także gdzieś na Węgrzech przebywał. Więc pewnikiem to ten sam. I on miałby do niego iść, prosić o pisanie listu do ojców, do Marynki — za nic w świecie.

Zamiast iść do domu, który mu wskazano, poszedł w przeciwnym kierunku i wracał do siebie tak prędko, jakby go kto gonił.

ROZDZIAŁ PIĄTY. USŁUŻNY KAPRAL

Tymczasem rodzina, nie mogąc się doczekać listu od niego, zaniepokojona tym brakiem wieści, sama wystarała się przez komendę wojskową o adres i napisała do niego pierwsza.

Grześ, odebrawszy to pisanie, znalazł się teraz w okropnym kłopotcie. Ciekawość go paliła dowiedzieć się, co w liście stoi a tu ani sposób znaleźć takiego, coby przeczytał. Wpatrywał się w pismo całymi godzinami, chcąc z niego coś wyrozumieć; ale nie mógł. Poznawał tę lub ową literę, ale złożyć z tego żadnego wyrazu nie mógł. A ostatecznie trzeba było ten list w końcu przeczytać i odpisać na niego.

Po długich medytacjach i wahaniach Grześ nie widział innego sposobu tylko ten jeden, że trzeba będzie przecieź iść do tego Marcina.

— Niech się dzieje, co chce — powiedział sobie — pójdę. Innej rady niema. Mimo tego postanowienia kilka dni jeszcze bił się z myślami, bo niemało go to kosztowało iść do

¹gdzieś na Węgry — cała ta historia działa się w Galicji, która należy do Austrii; stamtąd często posyłała rekrutów do Węgier. [przypis autorski]

człowieka, którego dawniej lekcewał sobie, iść, przyznać się niejako do nieuctwa swego, prosić go, jak o łaskę, żeby mu list przeczytał.

I gdyby to był rekrut, jak on — gdyby mógł iść do niego, jak równy do równego, no, to jeszcze pół biedy. Poszedłby do niego bez ceremonji, wziął go na piwo i przy gawędce powiedział: — ty, bracie, słuchaj, napisz no mi, przeczytaj — i rzecz skończona. Ale tu trzeba było stanąć, jak należy rekrutowi stawać przed kapralem, wyciągnięty, jak struna, salutując ręką i meldując się pokornie i mówić nie „ty”, jeno „panie kapral”. To nie było tak łatwe. Aż zaklął siarczyście na tę myśl. A skoro mus, to mus.

— Skoro — mówił sobie — żebrackie dziecko wyuczyło się tyle, że mogło kapralem zostać, to ty bałwanie jakiś — tak sam siebie nazwał — coś nie chciał się uczyć, nie umiesz nic, musisz zdjąć pychę z serca i iść do niego.

To powiedziawszy, zrobił na prawo zwrot i poszedł po raz drugi do wsi, w której stał kwatery Marcin kapral; poszedł tam z tym nieszczęśliwym listem w rękę.

Marcin zmienił się bardzo od tego czasu, jak go Grześ nie widział. Zrobił się z niego wojak całą gębą: wąsy wywiksowane i wykręcone po węgiersku do góry, włosy wypomadowane i rozdzielone z tyłu, jakby u jakiego lejtenanta, — słomka z włoskiego cygara za uchem i szykowność miał prawdziwie oficerską.

Grzesia przyjął tak, jak na kaprała przystało, po wojskowemu, z góry — niczem nie pokazał po sobie, że go poznał, że go znał kiedyś; ale list mu przeczytał, przeczytał sucho, obojętnie, zimno, że Grzesiowi, aż się markotno zrobiło, że ojcowie tak go oziębło pozdrawiają. Stało tam wprawdzie w liście: „sercem ukochany synu, — dowiadujemy się o twoje zdrowie i powodzenie” „my, dzięki Bogu, zdrowi” itd. — ale to wszystko było jakoś sucho napisane, bez żadnej czułości, bez serdeczności. Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy słuchał czytającego. A co go najwięcej bolało, to to, że o Marynce nie było wzmianki żadnej. Gdyby sam był umiał przeczytać list, byłby się przekonał, że tam było i od Marynki pozdrowienie, że go się zapytywała przez ojców także i o jego zdrowie i powodzenie; ale pan kapral czytając, umyślnie, może przez złośliwość, aby mu dokuńczyć, a może dla innego wyrachowania opuścił te słowa. Grześ miał ochotę spytać się, czy od Marynki niema pozdrowienia, ale nie śmiał. Załedwie tyle miał odwagi, żeby prosić pana kaprała, czyby oni nie byli tak dobrzy i nie napisali ojcom odpowiedzi. Marcin po małym namyśle zgodził się, kazał mu tylko przynieść sobie papier, pióro, markę listową i pięćdziesiąt krajcarów za napisanie, bo taka jest taksa — rzekł, z powagą kręcąc wąsa.

Grześ dostarczył tego wszystkiego, wypowiedział, co chce, żeby było napisane: jakie tu ma strapienie z mustrą, i z tem, że się dostał między samych Niemców, jak mu tęskno bez domu, bez swoich, choć te Węgry taki ludny kraj i wina w nim tak tanio dostać można, jak barszczu. Prosił, żeby napisać, że on dzięki Bogu zdrów, że urodzaje tutaj ogromne, że sobie z domu zapomniał szkaplerz zabrać poświęcony u Matki Boskiej Różańcowej na odpuszcie w Krakowie, żeby mu go posłali przez okazją, chwalił im co to za wyborna ta węgierska słonina, że się jej odjeść trudno, a w końcu, lubo z wielką nieśmiałością, wykrztusił z siebie pozdrowienie dla Marynki, czy chora, że o niej wspomnienia nie ma w liście.

Wstyd palił mu twarz, gdy to mówił, bo Marcin patrzył mu w oczy z jakimś takim drwiącym uśmiechem, że Grześ wołałby się pod ziemię schować, albo uciec daleko, żeby tych bazyliżkowych oczu, co się śmiały z niego, nie widzieć. Ale dla listu musiał to znieść spokojnie.

Za parę dni list był gotów. Grześ wysłuchał go, jak kazania z uwagą ogromną. Było w nim wszystko, co chciał, tylko tak jakoś mało serdecznie to mu się wydało napisane. Gdyby on umiał pisać czuł, żeby to wszystko czulej napisał, że ojcowie i Marynka musieliby się zbeczeć nad jego listem. Ale skoro nie umiał, więc musiał się kontentować tem, co napisał Marcin.

Mniejby jeszcze był kontent z tego listu, gdyby był wiedział, że tam w nim o Marynce żadnej wzmianki nie było; Marcin czytał mu niby, że pozdrawia Marynkę, że dowiaduje się o jej zdrowie, czy pamięta o nim, jak on o niej; ale czytał to z pamięci. W liście tego wcale nie napisał. Natomiast napisał, czego jednak Grzesiowi nie przeczytał — napisał bardzo wiele o sobie, niby nie od siebie, tylko od Grzesia.

— „Jest tu — pisał niby od Grzesia — w naszym pułku Marcin Dudziak, alem z nim nie dużo gadał, bo on teraz wielka figura, ze samymi starszymi tylko przestaje — kapralem

jest, ale co ino patrzeć, jak feldfeblem zostanie, bo go pułkownik strasznie lubi, a panny pułkownikówny w oczy go chwala, że taki swarny i ładny z niego chłopiec. Zapytywał mnie o Marynkę i kazał ją pozdrowić i powiedział, że choć Węgierki ładne, ale ona jemu najmilsza”.

List ten sam Grzesz poniósł na pocztę — biegł, jak pies więcej niż miłę, bo chciał, żeby jaknajprędzej wiadomość o nim miała rodzina i Marynka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. CO MYŚLAŁA MARYNKA O GRZESIU I MARCINIE

W istocie radość była wielka, gdy list doszedł do wsi. Rodzice bowiem, nie mając długo wiadomości o synu, trapił się, czy nie chory, czy nie umarł, czego Broń Boże. Byli tak ciekawi, co w liście stoi, że nie mieli cierpliwości biegać z nim do profesora, tylko pobiegli, gdzie im było najbliżej, do chaty wójtowej i kazali Marynce czytać na gwałt.

Czytała, jak umiała — nie uważając na przecinki, na punkty, — czytała jednym ciągiem, odpoczywając tam, gdzie jej tchu brakło, przekręcając wyrazy; ale ostatecznie rodzice, którzy słuchali więcej sercem, niż uszami, dowiedzieli się, czego chcieli, o co im najbardziej chodziło, że ich synalek zdrów, że mu tęskno bez domu. Matka chciała mu co tchu szkaplerz posłać i pierogi, które właśnie popiekli na święta i święcone jajko, kielbasę, aż dopiero wójt ją musiał mitygować, że on teraz na to nie patrzy, bo tam ma lepsze przysmaki. Wójt był także w wojsku na Węgrach, to wiedział dobrze.

Choć list wydawał się Grzesiowi za smutny, za mało serdeczny, to jednak i matka i ojciec spłakali się przy nim, że ciągle to sukmaną, to rękawem musieli sobie nos i oczy wycierać. To ich tylko dziwiło i smuciło, że o Marynce żadnej wzmianki nie było. Wójt to zapomnienie i gniewało i obrażało nawet.

— To Marcin — mówił — i obcy i do tego kapral, a o Marynce nie zapomniał. Mówił, że ona mu najmilejsza, choć Węgierki — fiu, fiu, co to za dziewczęta te Węgierki — mało to ich widziałem.

Wojciechowie nie słuchali tego, co wójt mówił o Węgierkach, bo im w głowie tylko to było, dla czego Grzesz nie zrobił żadnej wzmianki o Marynce, ani ją pozdrowić nie kazał. Zafrasowało ich to zapomnienie i medytowali, co to być mogło.

— Przecie — mówiła Wojciechowa — jak go postrzygli i miał iść, to sam mi się przyznał, że mu najbardziej żal Marynki odchodzić, prosił mnie, bym na nią miała oko, żeby mu dziewczucha figla nie wypłatała i do innego serca nie obróciła. A teraz miałby zapomnieć.

— Bo może on do jakiej Węgierki obrócił serce — rzekł wójt.

— E! co też gadacie, takby od zaraz.

— U Węgrów to duchem idzie, bo to naród gorący, wino ich grzeje i pali — a szelmy Węgierki umieją bałamucić chłopaków — o! umieją.

Tu zaczął im opowiadać różne w tym sposobie wypadki, na które patrzył własnymi oczami, lub znał ze słyszenia.

Marynka słuchała tego nie słuchając, — bo kiedy jej ojciec mówił, ona myślała sobie o Marcinku. Gdy w liście czytała o nim, to serce zaczęło jej skakać w piersiach, jak wiewiórka w klatce i ognie jej na twarz buchnęły, że zdawało się spali ją; szczególnie, gdy czytała, że ona mu milsza, niż wszystkie Węgierki.

To ją tylko dziwiło, że Grzesz o tem pisze.

— Czy on głupi — myślała sobie — żeby takie rzeczy pisał. Chyba, że taki głupi i niewiedzący — kręci bicz na siebie samego.

Nie od dzisiaj miała ona już serce do Marcinka. Gdy go wzięli do wojska i słuchu o nim nie było, to dziecinne przywiązanie wyszumiało jej z głowy; ale teraz buchnęło na nowo, jak ogień rozdmuchany z popiołu i objęło ją całą. O Marcinku tylko teraz myślała i pisząc list do Grzesia z polecenia ojców, co kilka wierszy powtarzała, że wszyscy pozdrawiają Marcinka i dziękują mu sto razy za to, że pamięta o nich i żeby prędko wracał do wsi, to ludziom będzie weselej. Oj kosztowało ją niemało to pisanie, nie przez wstyd dziewczycy, jeno przez to, że nie mogła powiedzieć tego wszystkiego, coby chciała, bo to przecież list był nie dla Marcinka, ale dla Grzesia. Kosztowało ją trudu niemało także dla tego, że

ręka jej, odwykła już od pisania, stawiała litery koszlawe i niekształtne, a ona chciała jak najpiękniej napisać w nadziei, że może Grześ Marcinkowi ten list pokaże.

Jakoż pokazał mu nie przez życzliwość, jeno z musu. Marcin odczytał mu z listu to, co chciał, opuszczając to wszystko, co się do niego odnosiło. Tym razem dla uspokojenia go przeczytał, że Marynka go pozdrawia. Zrobił to, aby uspić jego czujność i nie budzić podejrzeń. Za to nie przeczytał mu bardzo wiele z tego, co w następnym liście Grzesia wypisał o sobie. Mianowicie napisał tam, że w Marcinku na zabój zakochała się córka jednego bogatego Węgra, co ma dwie winnice i trudni się wypasaniem świń; ale jej odpowiedział, że żenić się nie będzie, bo on w swojej wsi ma taką dziewczuchę, bez której żyć nie może, i o którą wszelkimi siłami będzie się starał, żeby jego była.

Można sobie wyobrazić, co się działo Marynce, kiedy to wyczytała. Zdawało się, że jej serce z radości wyskoczy, biegła po wsi do wszystkich znajomych, żeby się pochwalić, że Marcinek nie chciał Węgierki. Wszystkie medytowały nad tem, która to mogła być we wsi, którą on tak miłuje. Marynka udawała niby, że ona nie wie; ale z oczu jej można było wyczytać, że zna tę szczęśliwą, — niektórym nawet pod sekretem zwierzyła się ze swoją tajemnicą. Wspomnienie Grzesia nie przeszkadzało jej wcale. Była najpewniejszą, że się w jakiej Węgierce zakochał, skoro jej tak mało pisze o sobie, a tyle o Marcinku.

— Widzicie — mówiła — nie chodzi mu o mnie, i sam stręczy mi Marcinka na pociechę.

To przekonanie uwolniło ją od wszelkich wyrzutów sumienia; tłumaczyła sobie, że może teraz z czystym sumieniem pokochać Marcinka — i w następnym liście jeszcze więcej się o nim rozpisala.

W taki sposób za pomocą listów Grzesia, Marcin i Marynka odnowili dawną znajomość, porozumiewali się i oświadczali sobie nawzajem, a głupi Grześ pomagał im w tem mimo wiedzy, płacąc jeszcze za pisanie i biegając sam z listami na pocztę.

Nie dosyć na tem. Przyszła mu raz ochota, gdy dostał kilkanaście reńskich od rodziców, zrobić im za to małą przyjemność i kupić baryłeczkę wina, żeby się nią podzielił z wójtami.

Rozumie się, że o napisanie adresu poprosił znowu Marcinka, do którego coraz bardziej nabierał śmiałości i serca. Pochlebialo to jego próżności, gdy go inni rekruci widzieli chodzącego do pana kaprała, rozmawiającego z nim.

Otóż, wracając do rzeczy, z tą baryłeczką wina poszedł Grześ w zaufaniu do Marcina prosząc o napisanie adresu. Marcin, korzystając z tego, co mówił Grześ, że wino to pójdzie na spółkę dla wójta i Wojciechów — zaadresował posyłkę na ręce wójta, niby że jako urzędowa osoba i piśmienna łatwiej będzie mógł załatwić wszystkie formalności pocztowe przy odbiorze, a siebie wypisał jako tego, który posyła.

Wójt więc, odebrawszy tę posyłkę, był najpewniejszy, że to Marcin Dudziak jemu w podarunku owo wino posyła. Chwalił się tem przed całą wsią i zapraszał wszystkich, nie wyjmując ojców Grzesia na to wino, a gdy sobie podpiał z uciechy, rozserdecznił się nad dobrocią i szlachetnością Marcinka: co to za chłopak, jakie złote serce — i do tego kaprał, co lada chwila feldfębłem może zostać, a może oficerem.

— I taka figura uważacie — mówił — pamięta o mnie, przysyła mi co najlepsze wina i powiada, że woli Marynkę od wszystkich Węgierek. Co to za złote serce — jaka to szlachetność. Żeby tak chciał moją Marynkę, to dalibóg ani chwili bym się nie wahał.

— A nasz Grześ? — powstrzymywał go Wojciech — Przecieżeście mu przyrzekli.

— Co tam przyrzekli, przyrzekli — bełkotał niewyraźnie wójt, bo mu już język luzem chodził i plątał się w gębie. Przyrzekanie to jeszcze nie ślub. I on przyrzekł, a teraz o Marynce ani wspomni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. POWRÓT Z WOJSKA

Ciężko przeszły Grzesiowi te trzy lata, które służył w wojsku. W domu robił, co chciał, ojciec i matka dogadzali, że ptasiego mleka chyba mu brakowało, a tu trzeba było wymyślić od kaprała i feldfębła znosić. Jak sobie po otrzymaniu pieniędzy pozwolił czasem z towarzyszami na obfitszy traktament, to potem trzeba było w następnych dniach kłaść się spać o głodzie. Do tego pobyt pomiędzy Węgrami i Niemcami, których języka mało co rozumiał, był mu przykry nadzwyczaj. Nieraz mu się to wydarzyło, że całe popołudnie

w niedzielę wałęsał się po wsi i nie miał z kim pogadać; zaszedł do gospody, to siedział tam jak na niemieckim kazaniu, słyszał gwar, hałas, nie rozumiejąc nic z tego. Było mu wtedy smutno i nudno i choć między ludźmi, czuł się smutnym i opuszczonym.

Najdotkliwiej uczył jednak to osamotnienie, kiedy Marcina odkomenderowano z oddziałem w inne strony. Urwała mu się wtedy ostatnia nitka, co go wiązała z krajem. Przez Marcina mógł się porozumiewać z rodziną, mieć od nich wiadomość, co się tam dzieje z nimi, z Marynką. Teraz ustało to wszystko. Dostał list, to go obejrzał na wszystkie strony i schował, bo nie było nikogo, coby mu przeczytał. Męką było takie życie dla niego. To też liczył dni i tygodnie niecierpliwie, które go oddzielały od powrotu do domu. Czekał z utęsknieniem na tę chwilę, gdy dostanie pozwolenie opuszczenia pułku. Czekał i doczekać się nie mógł, tak mu godziny leniwo się wlokły.

Nareszcie przecież doczekał się. Ostatni tydzień był już jak w gorączce, jakby nieprzytomny. Myślał już naprzód wędrował do domu, układał sobie w głowie, jakie będzie powitanie, jaka radość, kiedy się tam zjawi niespodzianie. Miał ochotę kupić dla swoich jaki gościniec. Dla ojca baryłka wina wydawała mu się najlepszą; tylko z Marynką miał kłopot, co jej kupić. Choćby kupił takie czepce, jakie tu nosili, — ale nuż się jej nie spodoba i nie zechce w tem chodzić. A może czerwoną spódnicę — tylko, że to nie moda u nich tak jaskrawo się ubierać. Na szczęście zjawił się wędrowny kramarz i między różnymi towarami znalazł u niego Grześ książki do nabożeństwa prześlicznie oprawne w skórę safjanową, ze złoceniami. To mu się wydawało najstosowniejszym podarunkiem, kupił więc najładniejszą, zapłacił za nią drogo, bo coś z pięć rubli, wszystkie prawie pieniądze, jakie miał; ale nie żałował tego, bo to dla Marynki i cieszył się naprzód, jaką uciechę mieć będzie z tego dziewczucha.

Obladowany baryłką, książką i swoimi bagażami wyruszył nareszcie jednego dnia wraz z kilku towarzyszami, którzy tak jak i on wracali za urlopem do domu. Droga widziała mu się niezmiernie długą; ale ostatecznie dojechał jakoś do ostatniej stacji a stamtąd piechotą puścił się do wsi swojej. Chęć zobaczenia co rychło swoich dodawała mu sił, szedł żwawo, i im bliżej był wsi, tembardziej przyspieszał kroku. Serce zabiło mu żywo, gdy ujrzał przy zachodzącym słońcu ze wzgórza znajome pola, chaty, drzewa. Radby był ptakiem tam zlecieć. Szedł na przelaj, nie trzymając się drogi, byle prędzej dojść. Był jednak jeszcze spory kawał i zanim doszedł do pierwszej chałupy we wsi, — już zmrok padł na ziemię. Spocony z umęczenia doszedł zagrody ojców. Dziwiło go, że w oknach nie było światła. Na spanie było zawczasie, chyba, że ojcowie w karczmie a może, czego broń Panie Jezu!... ale nie, złe myśli odganiał od siebie.

Pies domowy poznał go, przestał szczekać i zbliżywszy się, lizał mu ręce i kręcił ogonem. Grześ pogłaskał go i poszedł do drzwi. Były zamknięte; zapukał nikt nie odpowiadał z wnętrza. Począł walić pięścią. Sąsiadka wyjrzała i spytała: — ktoto? czego chce?

— Wojciechów niema? — spytał stłumionym od wzruszenia głosem.

— To się wie, że niema.

— A gdzie oni.

— Na weselu.

— Na weselu?

— A wyście co za jedni? — spytała podejrzliwie, podchodząc bliżej i usiłując w ciemności rozpoznać go. Zobaczywszy mundur, zbliżyła się i rzekła:

— Pan wojak mają do nich jaki interes?

— Nie, ja syn.

— Grześ! Rany boskie! — zawołała baba — a toż to będzie uciecha, jak się starzy dowiedzą, — możeby iść dać im znać, czekajcie, polecę.

— Potrzymajcie ten tłumok, ja sam pójdę. Gdzież to wesele?

— U wójta.

— A któż tu teraz wójtem?

— Ten co zawdy, przecie go znacie — Paweł Kalita.

— A komuż on sprawa wesele? Przecie miał tylko jedną dziewczuchę — Marynkę.

— No toż tę wydał. Żeni się z nią Marcin, co był feldfeblem w wojsku, a teraz do sądu się dostał na woźnego.

Pod Grzesiem nogi się ugięły, że mało nie upadł, słysząc te słowa. Uszom własnym nie wierzył.

— Marynka za Dudziaka? — wrzasnął gwałtownie, — że aż baba odskoczyła on niego przerażona. I ojcowie poszli na to wesele?

— Dla czegoż iść nie mieli — tam cała wieś prawie sproszona. Weselisko sute jak nie pamiętają ludzie.

— Przecież Marynka mnie była obiecana.

— Tak ono było pono; ale skoroś nie chciał.

— Ja nie chciałem?

— Tak mówili, żeś o niej do krzty zapomniał i wyszukałeś sobie pono jakąś Węgierkę.

— Kto to powiedział?

— A dyc sam pono pisałeś. Tak mówią we wsi.

— Ja? A psiawiara — zawołał, bo nagle błysnęło mu światło w głowie i odgadł podstęp Marcina.

— Ale mu to na sucho nie ujdzie — o! nie ujdzie. Zatlukę, jak psa. Ja go nauczę, ja się zemszczę.

Zostawił barylkę i tłumoczek w rękach zdziwionej baby, a sam z kijem rzucił się naprzód w stronę, skąd dolatywało buczenie basów i znikł w ciemności.

ROZDZIAŁ ÓSMY. GRZEŚ NA WESELU MARYNKI

Rojno i gwarno było w chacie wójta i około chaty. Ludzi jak na odpuscie i wewnątrz i zewnątrz.

Obszerna izba, oświetlona wiszącą lampą, nabita tańczącymi. Skrzypiciele siedzą na stołach czerwoni z umęczenia i tną od ucha a basy pomrukują. Tłok taki, że tanecznicy mało się ruszać mogą, tylko przytupują nogami i wykrzykują a przez okna ciekawie zaglądają baby i dzieci. Po drugiej stronie przed domem zastawiony stół suto jedzeniem i napojem, a przy nim posadzono honorniejsze osoby: profesora, kościelnego, bogatszych ze wsi gospodarzy i gospodynie. Pan młody siedział także między nimi. Surdut na nim czarny z żółtymi świecącymi guzikami i biały krawat atlasowy, umyślnie sprawiony na tę uroczystość. Koło niego kilku jego towarzyszy z wojska, dwu feldfeblów, jeden kapral i kancelista sądowy. Wójtowa ma ich w szczególniejszem poważaniu; ciągle im każe nosić gęsinę na misach, kubki i szklanki sama winem napełnia, bo jej pochlebia, że takie wielkie figury ugościć może na córki weselu. Rozmowy tu poważne: o urodzajach, o wojnie, o podatkach, o cenach zboża na ostatnim jarmarku. Pan młody rozprawia o wszystkim; więc go słuchają uważnie, jakby księdza na ambonie. A panna młoda tymczasem zabawiła się tańcem z młodymi w towarzystwie rówieśnic. Twarz rumiana świeci się jej od potu, oczy się śmieją radością, a na głowie rumiany wianek. Starszy drużba tańczy z nią i rej wiedzie między gośćmi. Ci co nie mogli docisnąć się do izby ani do okien — posiadali taborem na trawie koło stodoł i śmieją się do rozpuku i bawią się rozmową, conceptami, kpinkami. Wszędzie gwarno, wesoło, hałaśliwie — ot zwyczajnie jak na weselu i to na weselu nie lada jakim.

Są tam i rodzice Grzesia. Piją, jedzą, bo stary wójt pamięta o tem, iżby im na niczem nie brakowało; ale markotni, że to Marcin nie Grześ bierze Marynkę. Czują w duszy urazę do syna, że zawiódł ich nadzieje i dał sobie zabrać taką bogatą dziewczynę, jak Marynka.

— Pożałuje on tego — mówił Wojciech — ale po niewczasie.

Wtem pomiędzy tym tłumem ktoś, jak cień przesunął się nagle i wpadł szybko do izby, gdzie tańczono. Za chwilę w izbie dał się słyszeć krzyk — muzyka grać przestała naraz — a ciekawi zaczęli się tłoczyć w tę stronę, aby się dowiedzieć, co się stało. Jakiś głos donośny słyhać było.

— To tak? Toś ty taka? — Toś mnie przyrzekała a za innego poszłaś?

Głos brzmiał donośnie wśród ciszy, jaka zapanowała między słuchaczami.

— Kto to taki? — pytano się między sobą.

— Jakiś wojak.

— To Grześ.

— Być nie może. Grześ w wojsku.

— Chyba wrócił.

Tak szeptano. Szepty te doszły do ucha pana młodego, krzyk w izbie zaniepokoił go. Zerwał się i pobiegł tam.

Zobaczył Marynkę zmieszaną, przestraszoną i jakiegoś wojaka, co stał nad nią i pięścią groził. Skoczył co tchu między nich i zasłaniając sobą pannę młodą, spytał groźnie przybyłego:

— Czego tu chcesz, dryblasie jakiś?

— Czego ja chcę? Ty się mnie pytasz? — ty psi synu, Judaszu, coś mnie podszedł niegodziwie. Ja ci pokażę, czego chcę.

To mówiąc, podniósł kij i zamierzył się na Marcina, ale ten w jednej chwili chwycił go za rękę i pchnął ku drzwiom. Grześ się zatoczył, przygniatając sobą kobiety, tłoczące się w tył i krzyczące z przestachu; wnet się jednak zerwał na nogi i skoczył znowu do pana młodego, usiłując go schwycić za gardło. Obaj zapaśnicy chwycili się i rzucali sobą po izbie wśród tłumu, który przerażony rozstępował się i usuwał przed nimi.

Zrobił się ruch i zamieszanie. Jedni stanęli po stronie pana młodego, drudzy w obronie Grzesia i rozpoczęła się walka zacięta, w której walczący zbili się w jeden kłęb duży, który wyglądał jak ogromny potwór jakiś o kilkunastu poplątanych ze sobą dziwacznie rękach, o kilku głowach z rozczochranymi włosami i palającym spojrzeniem. Potwór ten dysząc, sycząc, charcząc przewalał się na środku izby, waląc sobą o ściany, przewracając stoły, ławy — a na około niego słychać było krzyk dzieci, płacz kobiet, nawoływania gospodarzy. Tuman kurzu, porwany walką, wzbił się w górę i zaćmił światło lampki tak, że odbywała się ona prawie w ciemnościach i często jeden zamiast przeciwnika zwałił po łbach swoich stronników i targał ich za czupryny.

Walka ta jednak nie trwała długo. Stronników Grzesia było znacznie mniej, prędko więc Marcin i jego poplecznicy uwinęli się z nimi i wnet Grześ znalazł się za drzwiami, sromotnie zbity, skopany, pokrwawiony. Mimo to nie dał za wygraną, zerwał się i powtórnie chciał się dostać do izby, żeby rozpocząć walkę na nowo. Zaciekłość zrobiła go szalenie odważnym. Ale matka i kilka kobiet przytrzymały, go uczepiwszy się rąk i nóg go — a ojciec zastąpił im drogę i rozkrzyżowawszy ręce, wołał:

— Grzesiu, bój się Boga, co ty robisz? Grzesiu opamiętaj się.

Nie rozumieli oni wcale tej zaciekłości Grzesia, o co mu chodziło. Wiedząc z listów, jak mało dbał o nią, byli pewni, że sam nie życzył sobie tego małżeństwa. Skądże więc uraza do Marynki i Marcina? Dopiero w domu, dokąd udało im się z trudem odciągnąć Grzesia, gdy im zaczął opowiadać wszystko, otworzyły im się oczy i oburzyli się na niegodziwość Marcina. Oburzali się nietylko oni: w całej wsi, gdy dowiedziano się o nieuczciwym postępku Marcina, wszyscy potępiali go i mówili, że Marcin pokazał się, jak niegodziwiec, że skorzystał ze swej nauki na szkodę towarzysza. Nawet wójt pożałował, że za niego córkę wydał; radby ją oddać Grzesiowi, ale było już zapóźno.

Szły teraz narady nad tem, co zrobić? Dopaść gdzie na uboczu i obić porządnie kijem, jak chciał Grześ — toby do niczego nie prowadziło.

Zaskarżyć do sądu, jak chcieli rodzice, znowu Grześ nie chciał, bo mu wstyd było przyznać się publicznie do nieuctwa swego, wskutek którego Marcin go tak umiał wyzyskiwać i wystrychnąć ostatecznie na dudka. Najlepiej mu się widziało to, co matka radziła.

— Co ci — mówiła mu — ma chodzić o taką wietrznicę. Albo to ona jedna we wsi. Mało to dziewczuch, co z ochotą przyjmą swatów od ciebie. Nie powinieneś nawet pokazywać jej, że ci chodzi o to.

Grześ poszedł za radą matki i zaraz najbliższej niedzieli umizgał się w karczmie do Hanki Pawlikówniej i tańczył z nią do upadłego a w kilka dni potem podarował jej ową książkę, którą przywiózł był w prezencie dla Marynki.

Hanka ucieszyła się niezmiernie, bo książka była taka okazała, że w całej wsi żadna takiej nie miała i przechwalała się tą paradą przed towarzyszkami. Gdy jednak zajrzała do środka, dziwno jej było, że nic a nic z tej książki wyrozumieć nie mogła. Litery niby były takie, jak zwykle, ale żadnego słowa z nich złożyć nie mogła. Same jakieś takie cudaczne wyrazy wychodziły w czytaniu, że to ani po niemiecku, ani po polsku — ot po nijakim. I nikt we wsi nie mógł jej powiedzieć po jakiemu ta książka drukowana. Dopiero nauczyciel ją objaśnił, że po węgiersku.

Gdyby Grześ był piśmienny, mogłaby myśleć, że sobie zakpił, dając jej taki prezent, ale wiadomo było, że czytać nie umie, więc zaraz domyśliła się, że to z niego zakpiono, że kupił sam nie wiedząc co.

Rozniosło się to zaraz po wsi; ludzie zaczęli się śmiać i natrzęsać z biednego Grzesia; nie mógł pokazać się między ludźmi, bo wszyscy drwinki sobie z niego stroili i małe dzieci pokazywały go sobie palcami mówiąc:

— To ten co chciał Hankę na węgierską wiarę nawracać.

To go ubodło bardziej niż wszystko, a że był ambitny chłop, więc nie mógł znieść takiego upokorzenia i jednego dnia wyniósł się cichaczem ze wsi, powrócił do wojska i zaciągnął się na dalsze trzy lata.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. GRZEŚ SMARUJE TRZY KRZYŻYKI

Znośniej mu teraz było w wojsku, niż dawniej, bo już go nie ciągnęło tak bardzo do wsi, owszem przykre wspomnienia odpychały go od niej. Przytem oswoił się już nieco z miejscowością, z ludźmi i nie czuł się tak obcym między nimi.

Przez cały czas pobytu w wojsku nie znosił się wcale z domem, z ojcami. Nie wiedział, co z nimi słyhać. Nie przez obojętność to robił, bo nieraz myślał o swoich starych; ale nie miał mu kto napisać listu.

Od rodziców miał parę razy wiadomość. Raz donosili mu, że siostra jego Petrysia poszła za mąż za leśnika, drugi raz znowu ten leśnik donosił mu, że rodzice jego pomarli oboje na cholere; ale Grześ nic o tem nie wiedział. Schował oba listy do kieszeni, nie przeczuwając, jak ważne wiadomości zawierają.

W jakiś czas po tym ostatnim liście przyszło jakieś urzędowe pisanie; Grzesia wezwano do kancelarji, do kapitana, gdzie był także jakiś urzędnik z piórem za uchem. Kapitan zaczął mu tłumaczyć, że przysły z sądu papiery do niego, że rozchodzi się o prawo dziedzictwa, o zaciągnięcie jakiejś pożyczki. Dużo kapitan gadał, ale Grześ mało z tego rozumiał, to jedno tylko pojął dokładnie, że szło o to aby się na tych papierach podpisał. Dlaczego się miał podpisać, na co — tego on nie wiedział i nie myślał o tem, tylko myślał jak on się podpisze, kiedy pisać nie umie. Dopiero gdy kapitan wytłumaczył mu, że wystarczy położenie krzyża świętego, z ochotą zgodził się na to, i chwyciwszy pióro w rękę jak laskę, nasmarował trzy grube krzyże, kontent, że w ten sposób wywinął się z kłopotu.

A tymczasem nadeszła pora powrotu, bo kończyły mu się lata służby. Układał więc sobie, że wróci do wsi, obejmie gospodarstwo od ojców, ożeni się i będzie gospodarzem jak się patrzy.

No i wrócił. Zastał rodziców w grobie, a Petrysię z mężem leśnikiem gospodarujących w ojczystej zagrodzie. Była to dla niego niespodzianka, bo nic o tem nie wiedział. Z ustnych dopiero opowiadań, dowiedział się o wszystkim. Marzenia jego o objęciu gospodarstwa zmalowały do połowy teraz. Uznał to za słuszne, że skoro Petrysia już wydana, to on tylko do połowy ojcowizny ma prawo. Ale jakież było jego zdziwienie i oburzenie, gdy mąż Petrysi oświadczył mu, że i do tej drugiej połowy nie ma żadnego prawa, bo się jej zrzekł na korzyść siostry, za 150 rubli spłaty.

— Kiedy? Gdzie? — pytał — stawiając się ostro.

— A toż posłaliśmy ci pismo do podpisu — i podpisałeś.

Grześ przypomniał sobie, że coś mu tam czytali, coś podpisywał, ale uważał to za nieważne i szwagra zaskarżył do sądu. Procesowali się kilka miesięcy i ostatecznie szwagier wygrał. Naprawdę Grześ tłumaczył się, że postawił krzyże sam nie wiedząc na co, że kapitan mu coś tam gadał niewyraźnie, z czego on nic wyrozumieć nie mógł; nic to nie pomogło. Akt był formalny; podpis Grzesia stwierdzony przez dwóch świadków i na mocy tego aktu leśnik utrzymał się przy gruncie, a Grześ, nie mogąc się ze 150 rublami zaczepić na gruncie, musiał wziąć się do pracy i on, syn gospodarski, poszedł na parobka do dworu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. JAK GRZEŚ NAUCZYŁ SIĘ WRESZCIE CZYTAĆ

Żle mu tam nie było, bo pan go polubił i wziął na furmana do cugowych koni. Miał więc i od gości częste obrywki i od pana, gdy mu przyszła fantazja, podarki sute na gody, na

dożynki i na święta. Pośle go naprzykład pan z listem do miasta i powiada: — na ten list tu przylepisz markę i wrzucisz do skrzynki, a z tym drugim pojedziesz do Lipinek i zaczekasz na odpowiedź — rozumiesz? Grześ powiada — „rozumiem”; ale przez drogę pomieszało mu się w głowie i list, co miał iść do Lipinek wpakował do skrzynki, a z tym drugim pojedział do Lipinek.

Gorzej jeszcze było, gdy pojedzali czasem na kilka dni do miasta. Grześ ani nigdzie trafić, ani sprawunków załatwić nie umiał, bo czytać napisów i szyldów nie potrafił. Pan był raptus, więc wybuchł gniewem na Grzesia za te pomyłki i lajał go za to od ostatnich osłów, — a kiedy mu już za dużo było tego wszystkiego, oddał konie innemu furmanowi, a Grzesia obrócił na karbowego. Musiał biedak przynajmniej kozikiem pisać na patyku, gdy za młodu inaczej pisać mu się nie chciało.

Ostatecznie nie wykpił się na starość od czytania i pisania i na starość wziął się do tego. Miał już wtedy żonę i dzieci i był na swoim gospodarstwie, ożenił się bowiem z wdową po zamożnym gospodarzu.

Otóż zdarzyło się raz, że najstarszy synek jego, co miał przeszło siedem lat i uczył się już czytać, — nie mogąc sobie złożyć jakiegoś wyrazu, udał się z tem do ojca i powiada:

— Tatusiu! Przeczytajcie mi, jak tu stoi wypisane, bo ja nijak nie mogę.

Grześ, jakby go kto ukropem polał. Patrzy niby w książkę, a nic nie widzi, od wstydu zaćmiło mu się w oczach, bo jak tu przyznać się przed dzieckiem, że on stary nie umie tego, co umieją małe dzieci. Udał tedy pilny interes i wymknął się w pole. Ale chłopak jeszcze nieraz potem odwoływał się o pomoc w czytaniu do ojca. Stary Grześ wykręcał się, jak mógł i gdy syn brał się wieczorem do książki, on zaraz łap za czapkę i pod pozorem byle jakim wymykał się z domu.

Żona, jako starsza niewiasta i zazdrosna, podejrzewała go o jakieś pokątne miłostki albo pijatykę w karczmie i zaczęła go śledzić. Podpatrzyła go, że wyszedłszy z domu, biegł pędem przez pole do pobliskiej wsi; gnał tak prędko, że mu nastarczyć nie mogła. Była pewna, że go w karczmie zastanie; ale go tam nie było. To ją jeszcze więcej rozciekawilo.

Następnego wieczora wyszła ona pierwsza z izby, pobiegła drogą do sąsiedniej wsi i za kapliczką czekała przyczajona na niego. Zjawił się o zmroku i szedł prosto do mieszkania nauczyciela. Podsunęła się za nim pod okno; ale okno było zamknięte okiennicą. Baba mało się nie spaliła z ciekawości; nic dojrzeć nie mogła, słyszała tylko jakąś głośną rozmowę, jakieś szurgotanie. Chcąc dojść prawdy, wsunęła się na palcach do sieni i tu przytuliwszy twarz do drzwi, zajrzała przez dziurkę od klucza! — i ujrzała — w imię ojca i syna i ducha świętego! aż się przeżegnała baba, tak ją to zdziwiło, co tam ujrzała; ujrzała bowiem, jak Grześ siedział, niby żak jaki przy książce składał mozolnie sylaby, a profesor go poprawiał. Czyby na starość, myślała sobie, przyszła mu ochota uczyć się czytać?

Tak jest, uczył się. Ambicja popchnęła go do tego i duma ojcowska. Przed obcymi mógł jeszcze przyznać się do nieuctwa, ale przed własnym dzieckiem nie chciał się tak kompromitować. Aby nie potrzebował przed nim się wstydzic, wziął się do nauki tak gorliwie, że w pół roku wcale już nieźle czytał i pisał. Przekonał się, że to nie tak trudne znowu było, jak mu się dawniej zdawało.

Dziś po latach kilkunastu, Grześ już sam sobie gazety i książki różne czytuje i taki zapalony jest do tego, że wieczorami ani sposób go oderwać od czytania. Powiada, że woli to nad wszelkie zabawy i uciechy.

To też w wielu ważnych sprawach jest wyrocznią we wsi. Z książek i gazet czytuje ludziom różne ciekawe wiadomości. Wszyscy też mają szacunek dla niego i nazywają go teraz Grzesiem piśmiennym.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grzes-niepismienny-calosc/>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, Grześ niepiśmienny. Powiastka przez Michała Bałuckiego z ilustracjami Franciszka Kostrzewskiego, Druk Józefa Jeżyńskiego, Nowolipki Nr 9, Warszawa, 1889.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0053-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.